Rok VI. Wrzesień i Październik 1881. Nr. 9 i 10.



Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 1 zł. 20 ct. Dla nauczycieli ludow. i uczniów tylko 70 cent. z przesyłką 82 ct.

MIESIĘCZNIK
galicyjskiego
TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we Lwowie ulica Teatyńska liczba 23, dokąd też wszystkie przesyłki, wkładki i prenumeraty adresować należy.

Odpowiedzialny redaktor: Dr J. Ciesielski.

CZŁONKOWIE
galicyjskiego Towarzystwa ochrony zwierząt
przybyli we wrześniu b. r.

a) we Lwowie:

Wny Bielecki Józef urzędnik kolei Czerniow. Lwów.

Wni: Juliusz Błoński c. k. Starosta, Gorlice — Jan Smoluchowski weterynarz pow. Gorlice — Julian Kukurewicz c. k. komisarz polit. Gorlice — Dr. Bartłomiej Wroński c. k. fizyk, Gorlice — Edward de Liebensfeld Kostka c. k. adjunkt sąd. Gorlice — Walery Rogawski burmistrz i aptekarz, Gorlice — Roman Andrusikiewicz c. k. inspektor szkół lud. Gorlice — Henryk Radałowicz c. k. kom. od straży finansowej, Gorlice — Karol Werner c. k. poborca podatkowy Gorlice — Aleksander Julian Paczowski kand. notaryalny, Gorlice — Jerzy Jung c. k. kontrolor podatkowy, Gorlice — Henryk Klimontowicz właść. dóbr Wojtowa, Gorlice — Władysław Mizerski c. k. adj. podat. Gorlice — Józef Herbert c. k. adj. podat. Gorlice — Karol Besztyga c. k. adjunkt podatkowy, Gorlice — Antoni Durbasiewicz kupiec, Gorlice — Władysław Mieszkowski kupiec, Gorlice — Ignacy Stern kupiec, Gorlice — Adolf Kuczera c. k. drogomistrz, Gorlice — Walery Kisielewski drogomistrz przy Radzie pow. Gorlice — Cyryl Kaszuba rządca dóbr i przełożony obszarów dwor. w Ropicy ruskiej.

Wni: Stanisław Barzykowski właść. kopalń nafty w Ropicy ruskiej — Arnold Zamorski admin. dóbr Łużna — Władysław Rychlicki leśniczy, Uście ruskie — Jan Rudzki subjekt handlowy, Gorlice — Franciszek Szarowicz obywatel, Gorlice — Ciećkiewicz Jan c. k. praktykant podatkowy, Gorlice — Nadraga Paweł dyrektor szkół normalnych, Gorlice — Kozierowski Emilian właściciel kopalń Ropica ruska — Przybylski Mieczysław artysta-malarz Gorlice

Borejko Józef kand. notarjalny, Gorlice — Dr. Kapiszewski Ludwik adwokat Gorlice — Koziorowski Gustaw właść. dóbr Biesna — Katyll Szymon inżynier, Gorlice — Płocki Władysław właść. dóbr Ropica polska.

Wni: Jędrzej Ciećkiewicz nauczyciel, Rzepiennik-Suchy — Adam Pikusa nauczyciel, Gorlice — Dr. Karol Bielczyk lekarz, Gorlice — Dr. Czesław Sleczkowski adwokat, Gorlice — Piotr Zubrzycki sekr. Tow. zalicz Gorlice — Zygmunt Jaworski c. k. adjunkt sądowy, Gorlice — Franciszek Szczepanowski właść. dóbr i dyrektar Tow. zalicz. Sokoła — Adam Skrzyński właść. dóbr Libusza — Stanisław Więckowski właść. dóbr Rozembark — Feliks Skrochowskl właść. dóbr Ropa i marszałek Rady pow. — Józef Znamirowski właść. kopalń nafty w Męcinie wielkiej — Stanisław Znamirowski c. k. rejent Gorlice — Józef Chmielewski, Gorlice.

Wna: Anna Furmankiewicz nauczycielka — Józefa Smoluchowska nauczycielka; Gorlice.

Wna: Kasiewicz Aniela Gorlice.

b) do Oddziału w Mikulińcach:

Wny Gierosiński Jan ekonom, Mikulińce, — Halkiewicz Emil ekonom, Wola-mazowiecka, — Lachowski Maciej c. k. urzędnik stacyi telegr. Mikulińce.

Obrazki z życia zwierząt.

Kruk. W czasie nader ostrej zimy, napotkał pewien wieśniak, przy gościńcu pod płotem, skurczonego — i zapewne od zimna i głodu ledwie co żywego kruka. Zabolało serce poczciwego chłopka, na widok tak opłakanego stanu biednego ptaka, zabrał go więc ze sobą, a utuliwszy pod kożuchem, przyniósł do domu. Wkrótce kruk przyszedł do siebie, skakał wesoło po izbie, jadł z apetytem co mu dano, — ale do grzeczności wcale się nie poczuwał za to dobrodziejstwo, — i zawsze był gotów użyć dzióba i pazurów, gdy go szczególnie które z dzieci do ręki wziąć chciało. Śmiałość swoją posunął w końcu do tego stopnia, że zauważywszy gdzie kury jaja znoszą, — zakradał się niespostrzeżenie pod przypiecek i za każdym razem po kilka jajek konsumował. Długi czas nie mogła gospodyni podejść mądrego kruka na gorącym uczynku, bo on nawet umiał deszczułkę, zakrywającą ów otwór odsunąć, a potem tak jak była ustawić, — lecz w końcu... złapano złodzieja. Chcąc się pozbyć takiego gościa, wyrzuciła go gospodyni raz i drugi na dwór, ale krukowi posmakowała widocznie chata ciepła i wygodna — bo wracał natychmiast. Lecz pewnego razu, gdy już zadużo narobił szkody pod przypieckiem, rozgniewana gosposia pochwyciła biednego kruka i wziąwszy jakiegoś drewna, uderzyła nim z całej siły, kilka razy ptaka, a myśląc że już zabity, (bo się nie ruszał) wyrzuciła go na pole w śnieg.

Ale cóż się dzieje! za kilkanaście minut, usłyszała gospodyni lekkie stukanie do drzwi — otworzyła je... i o zgrozo... biedny kruk, żywy i trzęsący się od zimna stał na progu! Na ten widok oniemiała prawie kobieta, a potem wybuchła rzewnym płaczem z żałości nad biednem stworzeniem; ściskała, tuliła i ogrzewała drżącego ptaka, chcąc mu cierpień umniejszyć. W kilka dni przyszedł kruk zupełnie do siebie a w krótkim czasie bardzo się ze wszystkimi zaprzyjaźnił i domu ich już nie opuszczał — ale i szkody żadnej nie wyrządzał. *Franciszek Marzec.*

Litościwa kotka. W moim domu jest stara kotka, przez nas wszystkich lubiana, która niedawno miała troje małych kociąt, i pielęgnowała je z prawdziwą miłością i troskliwością macierzyńską. Kocięta jednak wszystkie troje nie długo żyły. U sąsiada było też maleńkie kocię — sierota, i to przychodziło często do naszego domu. Kotka za życia swych dzieci nie cierpiała tej sieroty i goniła ją z domu, a do łoża swych dzieci ani przystąpić nie dała; lecz skoro jej wszystkie troje kocięta wyginęły, po kilku dniach, przepędzonych przez matkę na żałośnem za niemi miauczeniu, i nadaremnem tychże odszukiwaniu, przyjęła sierotę za swoje i teraz dba o nią jak o własne dziecko.

Widząc to wyprosiłem u sąsiada to kocię i darował mi je. Obecnie kotka tak dba o swoje przybrane dziecko, że go ani na krok nie odstępuje, — a pokarmy jej dawane temuż pierwiej odstępuje, a dopiero kiedy się ono pożywi, sama się resztkami posila.

M. M. S.

Koń sadownikiem. W sadzie pana G. w Romanowie pasał się młody trzyletni koń. Jabłka i gruszki opadłe skutkiem wiatru, były dla niego największym przysmakiem i tak mu się wydelikaciło podniebienie, że trawy, która tam bujnie rosła zupełnie skubać nie chciał, — karmił się tylko owocami, które skrzętnie zbierał z niższych gałęzi. Gdy jednak po pewnym czasie na dolnych gałęziach nic już nie pozostało, nasz smakosz wynalazł sobie sposób dostania i wyżej wiszących owoców. Oto wspinał się na tylnych nogach, stawał dęba, naciągał ile możności szyję i schwyciwszy zębami gałąź, spuszczał się całym swoim ciężarem na ziemię. Rozumie się że gałąź tym sposobem znacznie nagiąć się musiała, — toż gdy ją koń raptownie z pomiędzy zębów wypuścił, wracając w pierwotne położenie, sypała jabłka lub gruszki na ziemię. I tak zmyślny rumak, nieznając zupełnie prawa elastyczności, instynktowo potrafił je wyzyskać. Operacyę tę powtarzał tak długo, póki u niższych drzew, dolnych części

korony zupełnie nie oczyścił, poczem jak niepyszny wrócił do trawy. Muszę jeszcze zanotować, że pomimo, iż w sadzie rosną także klony i jesiony, nie spostrzegłem, aby się kiedy pomylił, co do rodzaju drzewa.

S. C.

Para łabędzi. Mieszkałam na wyspie Rugii. Z altany ogrodowej nad zatoką morza przedstawiał się prześliczny widok spokojnego zwierciadła wody prawie w około wysokiemi pagórkami od wiatrów zasłonionej. W zaciszu tem wiosłowały zawsze przez całe lato aż do późnej jesieni setki łabędzi. Wielkie przestrzenie, zarosłe sitowiem i trzciną, były bardzo wygodne dla tego ptactwa wodnego, tam ukrywały one swoje wylęgarnie, a z altany łatwo dostrzedz można było liczne gniazda, zajęte przez pojedyncze parki.

Pewnego poranku letniego przynieśli mi robotnicy, ktorzy u brzegu trzcinę wycinali, i tamże jedno gniazdo odkryli, dwa młode już sporo podrosłe łabędzie, a tuż za nimi przydreptała ich przestraszona matka i dała się złapać bez oporu. Niemając w ogrodzie stawu, na który mogłabym puścić tę rozłączoną od ojca rodzinę, odesłałam ją przyjacielowi o dwie mile odemnie mieszkającemu, który już dawno sobie życzył upiększyć swój staw łabędziami. — Po przybyciu tamże skrócono matce nieco skrzydła i puszczono razem z młodemi na wodę. Wkrótce oswoiły się te ptaki zupełnie w nowem miejscu swego pobytu, pozbyły się dzikości i trwożliwości, i przyjmowały nawet pożywienie z rąk ludzi. Pewnego dnia patrząc jak zwykle z altany na niebieską gładką powierzchnię zatoki, ujrzałam łabędzia siedzącego smutno i nieruchomo na jednem miejsu i domyślałam się, że to jest samiec uprowadzonej samicy i sądziłam, że nie trudno mu będzie znaleźć sobie wśród tak licznego grona drugą towarzyszkę. Mijały jednak dnie i miesiące, a ptak smutny siedział zawsze sam nieruchomo na jednem miejscu, wyciągając tylko na każdy szmer swą długą szyję, wpatrując się w dal, czy nie nadpływa jego towarzyszka. Tak minęły żniwa, wiatry jesienne unosiły zżółkłe liście, trzcina kołysząca się falami pod powiewem wiatrów wydawała ostry szelest, łabędzie wszystkie poleciały już w dal, tylko opuszczony samiec, pozostał sam jeden i czekał....

Lód i śniegi pokryły zatokę, a gdym od czasu do czasu spoglądnęła na białą płaszczyznę, była ona zupełnie pustą, martwą — i żałowałam biednego łabędzia, który z tęsknoty za towarzyszką nie poleciał z innemi, lecz spoczął w grobie lodowym.

Gdy słońce stopiło lody, a łagodny wietrzyk wiosenny roznosił wokoło woń morza, zjawił się i wierny łabędź i zajął znowu swe dawne stanowisko na wodzie, czekając, rychłoli powróci z innemi i

jego towarzyszka. Łza zalewała oko, patrzących na jeden, zawsze nieruchomy punkt na morzu, jak pomnik tęsknoty i wierności. W tem, pewnego dnia wiosny, ujrzałam ku memu zdziwieniu na temże samem miejscu parę łabędzi wesoło krążących po wodzie i nim zdołałam zawiadomić o tem zjawisku domowników, przybył już posłaniec przyjaciela mego z zapytaniem, czy nie ma u nas zbiegłej samicy. Zapomniano bowiem, że przez zimę odrosły jej skrzydła i puszczono ją na wodę, młode jeszcze w jesieni darowano komu innemu — i pierwszego dnia wolności opuściła samica swe przymusowe miejsce i pospieszyła napowrót do zatoki, gdzie ją oczekiwał wierny samiec.

Tylko kilka dni przypatrywano się szczęściu i radości nowo połączonych ptaków, znikły one wkrótce — i odtąd ich już nigdy nie widziano. Porzuciły zapewne to miejsce, gdzie im wyrządzono tak ciężką krzywdę. (*Helena Kopp.*)

Ptaszki nasze w zimie *)

Ptaszki nasze, co z nami przetrwały przeszłą zimę, miały w pierwszych dniach wiosny pracy i trudów bez miary, aby uporządkować jako tako swoje sprawy osiedlenia, utrzymać się w posiadaniu swoich gniazd i stanowisk wobec natarczywości obcych przybyszów i bronić tych praw, które sobie zdobyły podczas długiej pory zimowej, znosząc tysiączne krzywdy, niedostatek i mrozy. Ale czas ten twardej i ciężkiej pracy prędko poszedł w zapomnienie, równie jak i niejeden wesoły, dzielny i pracowity towarzysz, którego zima zabiła mrozem i pogrzebała w śniegach i lodach. Zaczęło się radośne życie wiosenne. Głosiła je pstrząca się kwieciem ziemia, rozigrany strumyk i ciepłe słońce, opiewali przybyli z dalekich podróży zimowych śpiewacy, a cały ten nasz świegotliwy ludek skrzydlaty, co wierny nam zawsze, nawet w najtęższe zimy nie opuszcza naszych zagród, pól, łąk i lasów, wszystkie sikorki, trzynadle, dzięcioły, kosy i wołowe oczka, i jak się one jeszcze nazywają — przyczyniały się z całego gardła ile sił stało do tej powszechnej a wesołej wrzawy wiosennej. Ale obok tego miały one jeszcze inne, o wiele ważniejsze czynności do spełnienia. Znały one bowiem każdy zakątek rodzinnej okolicy lepiej od wszystkich tych wędrowców, co zimę w obcych przemieszkali stronach, wiedziały o każdem zagrożonem miejscu w ogrodach i lasach, o każdem chorem drzewie, o każdej gromadce larw motylich,

---

*) Szkoła 1876 Nr. 2

gdzie od jesieni leżała ukryta, gdzie prządki schowały swoje jaja — musiały więc po wszystkich drzewach i krzakach latać, zaglądać w każde dziupło, w każde pęknięcie kory, szukać i kuć od świtu do zmroku, aby wszystko do czysta wyskrobać, wydłubać, wydziobać.

A potem wylęgły się młode w gnieździe. Wtedy należało się starać o dzieci, znosić dla nich pożywienie, zbierać owady, robaczki i gąsienice aż do lata, pokąd nie dojrzały owoce, i aż do jesieni, kiedy pierwsze zżółkłe i poczerwieniałe liście poplamiły wiosenną szatę drzew, a po dolinach poczęły się już rankami i wieczorami kłębić chłodne mgły.

Z początku było i wtedy jeszcze dziwnie pięknie. Słońce wschodziło z poza lasu wielkie, czerwone i złociste, a źdźbła trawy połyskiwały brylancikami szronu i perłami rosy porannej. Przechód ten do zimy przecudny przedstawiał widok. Stół był obficie zastawiony: ziarnka jałowcu i grona jarzębiny wisiały na gałęziach, ligustr okrywał się czarnemi jagodami, nasienie ostu było dojrzałe, tu i owdzie biegał jeszcze o południu po zżółkłej łące lub po pustem ściernisku jakiś pajączek lub chrząszczyk, a na wilgotnej i miękkiej ziemi można było jeszcze z pomyślnym skutkiem wyprawiać łowy i wydobyć z niej niejedną brunatną dżdżownicę niejednego dobrze utuczonego pędraka.

Ale powoli nadeszły inne dnie, szare, ciemne chmury zawisły nad dolinami. Przygoniła je burza, która szumiała w krzewach, trzęsła konarami starych buków, a młode drzewka przyginała do ziemi. Wszystko ogarnęło lękliwe drżenie, i zeschły źdźbła trawy na ziemi, i zeschły liście na gałęziach. Wszystko uchodziło i kryło się, obcy śpiewacy do południowych krajów, domowi do lasu, drobne zwierzęta w ziemię. Wszystko uciekało, nawet żółte i czerwone liście pędziły z wiatrami, odrywając się z gałęzi, aż wreszcie cały las ogołocił się i opustoszał i już ani jedna gałązka, ani jedna korona nie przypominała minionej wspaniałości wiosennej. — A potem spadł śnieg. Z początku prószył małemi, delikatnemi gwiazdkami, później sypał coraz większymi płatkami, z wolna, cicho, ale coraz więcej i więcej, coraz gęściejszy i cięższy. Okrył naprzód ziemię, łąki i niedawno zorane skiby, potem zawisł na krzakach i ubielił czarne i brunatne jagody, które wczoraj jeszcze połyskiwały w świetle dziennem, potem ułożył się warstwami na konarach drzew, otulił wszystkie korony i gałęzie i zasypał małe, opuszczone gniazdko wiosenne, które tam w górze wisiało.

Wśród gęstej zawiei śnieżnej wyleciało o świcie stado ptaszląt z lasu na otwarte pola, aby zobaczyć, coby tam można począć. Prze-

szukały one ostrożnie zwyczajne miejsca śniadań, płot od sadu ostatniego obejścia we wsi, starą jabłoń z jej korą guzowatą i popękaną i moczarzysty brzeg potoku. Sikorki, wołowe oczka i dzięcioły ujrzały się wspólną wszystkie razem przyciśnięte biedą! Pierwsze furknęły spiesznie na drzewa i przebiegały z gałęzi na gałąź, z dołu na górę i znowu z najwyższych wierzchołków na pnie, i wszędzie szukały, grzebały, kuły, dziobały, ale śnieg padał na nie i zasypywał każde odkryte miejsce, zagrzebywał napowrót każdy kawałeczek kory, który małe sikorki były odgrzebały. Wołowe oczka buszowały tymczasem po płotach, a dziecioły okrążały pnie, biegając coraz szybciej tam i napowrót, aż wreszcie przekonały się, że ziemia i kora zamarzła, wygładziła się i stwardniała, i że dzisiaj całodziennych ich trudów nie wynagrodzi żadna zdobycz.

Odleciały więc wszystkie, każde w swoją stronę, zrazu jeszcze dosyć wesołe i żwawe, nawołując się i wabiąc, jakoby chciały sobie dodać odwagi, wzbudzić nadzieję i ufność.

Wieczorem przycichły. Słońce zaszło niewidziane, a śnieg wciąż sypał w wielkich, gęstych płatkach. Wszyscy mali latawcy byli znużeni, śmiertelnie znużeni, i poszli szukać sobie kryjówek. Jeden wsunął się w ciasny zakącik pod kilku omszonemi gałęziami, drugi skrył się w dziuple starego, wypróchniałego drzewa, inni przytulili się w krzaku stojącym kędyś na krawędziu lasu, który gęsty śnieg przysklepił. Siedzieli tam wszyscy w kupce, jeden przy drugim, odąwszy piórka i pochowawszy główki, a głód ściskał im próżne żołądki. O zmroku słychać było jeszcze tylko dzięcioła, jak kuł i pukał kędyś w lesie, i wrzaskliwe wrony, wykrakujące niecierpliwie wieczorne godzinki. Potem wszystko ucichło i mała gromadka usnęła głodna i drżąca od zimna. Ale śnieg pada i pada ciągle, od godziny do godziny, od wieczora do północy, od północy do poranku i jeszcze przez cały dzień następny i przez całą noc, a kiedy nakoniec przestał sypać, to było już wszystko zasypane i zagrzebane, i łąki i krzaki i owoce, wszystko było stracone dla biednych ptaszków.

Całemi stadkami puściły się więc na wędrówkę od wsi do wsi, od domu do domu, ci zziębnięci i zgłodniali żebracy, wygnani z rodzinnego gniazda, pozbawieni pracy i zarobku. Jakiż z tego dla nich pożytek, że przez całą wiosnę i lato pomagali nam tak pilnie w ogrodzie, w polu i w lesie? Cóż z tego przyjdzie drobnej sikorce, że w ciągu roku zebrała z drzew i krzaków do 400.000 owadów? Cóż jej z tego przyjdzie, że ocaliła miliony owoców, kwiatów i liści? Pomimo tego wszystkiego jest teraz przecież opuszczoną żebraczką, wydaną na pastwę głodowi i zimnu.

Z początku idzie podróż szybko. Strach pędzi tych biedaków przez góry i doliny, z jednej łąki na drugą, od jednego potoku do drugiego. Zatrzymują się przed każdą stodołą, spadają na każdą kupę gnoju, ale wszędzie leży śnieg, często wysoko nawiany, i wszędzie jednakowa czeka ich nędza. Przez kilka dni utrzymuje się ta wędrowna drużyna w pełnej liczbie, ale później poczyna już co wieczora i co rana brakować to jednego, to drugiego towarzysza. Rozmaici rabusie czatują bowiem na uciśnionych. Jastrząb dopatruje ich łatwo na śnieżnym całunie ziemi, łasica i kuna podkradają się do nich na ich zimnych noclegach, mróz i burza ścigają ich, znużenie i zwątpienie ubezwładnia ich skrzydełka. To tu, to tam przyzostaje któraś ptaszyna pod krzakiem, przycupnie na kamieniu przy drodze, zburzy piórka, zresztą zawsze takie gładkie, i spoglada cicho i smutno za odlatującymi przyjaciołmi. Śnieg zasypuje ją, wiatr nawiewa białe płatkj na skostniałe jej ciałko, i po niewielu godzinach leży ona już pogrzebana głęboko i zapomniana, jak kilka godzin przed tem zginął któryś inny towarzysz, co jeszcze wczoraj z całem stadem latał.

Tak gubi sroga zima cztery piąte, a często nawet dziewięć dziesiątych części naszych najmilszych, najczynniejszych, najgorliwszych pomocników w polu, w lesie i w ogrodzie. Nikt nie spyta się o nich, nikt nie widzi ich niedoli, nikt nie ulituje się ich nędzy, i te ptaszki nasze, co przez lato od świtu do zmroku radośnym świegotem i śpiewem ożywiały całą przyrodę, rozweselając nas i pomagając nam w pracy — giną cicho, bez pomocy, padając ofiarą ciężkiej doli swojej.

Nie jest w naszej mocy odwrócić od nich całkiem ten smutny los, ale możemy go o wiele złagodzić, możemy tej skrzydlatej drużynie znaczną przynieść ulgę, możemy niejednemu z jej grona ułatwić utrzymanie życia, aż pokąd odwilż nie stopi śniegu i pokąd z topniejącym śniegiem nie rozpłyną się i cierpienia zimowe, jak straszne sny o wschodzie słońca. Wszakże można bez wielkiej pracy i zachodu z jakiegoś odkrytego miejsca w ogrodzie, w polu lub na kraju lasu zgarnąć jako tako śnieg, można na to miejsce nasypać trochę ziarn, narzucać różnych odpadków z kuchni, okrawków kartofel, niepotrzebnego mięsa, starej tłustości, okruszyn z chleba; można bez uszczerbku dla siebie położyć tam coś z owoców, nadpsute jabłko przekrojone na połowę, stłuczony orzech. Miejsce to można w części przysłonić ciernistemi gałęziami tarniny, lub jakim innym chróstem, aby uczęstowane tak przez nas ptaszęta ochronić od przelatujących ptaków drapieżnych i innych prześladowców. Przed naszemi oknami możemy urządzić małe zakłady dobroczynności — ka-

wałek deszczułki, na niej trochę ptasich łakoci, garsteczką ziarn, okruszek, a jeżeli już bardzo hojnymi być chcemy, rozdartą figę — oto wszystko czego potrzeba, aby uratować od głodowej śmierci seciny tych skrzydlatych istot. A jakież one będą nam wdzięczne za tę jałmużnę, choć to nie jałmużna, lecz tylko spłata małego procentu od ich wiosennego i letniego zarobku. Spróbujmy tak zrobić, a będziemy się cieszyli całą zimę widokiem zlatujących się regularnie, codziennie głodnych gości na biesiadę pod nasze okna, będziemy się cieszyli ich radością i szczęściem. Minie zima, zazielenią się drzewa, zakwitną kwiaty, a nasi zimowi stołownicy nie zapomną o nas i całe ich roje dziękować nam będą za pomoc w potrzebie, świegocąc i śpiewając wesoło pod naszemi oknami.

DO CZŁONKÓW.

Upraszamy Szanownych P. T. członków o dobrowolne chociażby najmniejsze składki bądź to w zbożu najpośledniejszem bądź w gotówce dla żywienia ptaków w zimie na Wysokim Zamku i innych stosownych miejscach jak w roku przeszłym. Również przypominamy, że poruczanie dzieciom tej czynności, zbawienne wywiera skutki na serca młode, uszlachetnia je i zachęca do niesienia pomocy ludziom, potrzebującym pomocy.

Oddziały Towarzystwa a szczególniej nauczyciele ludowi raczą nam tak jak roku zeszłego nadsełać wiadomości celem umieszczania onych w Miesięczniku dla zachęcania drugich.

ZABIJANIE BYDŁA NA RZEŹ.

(maska p. Bruneau).

Poddając krytyce jakość odbierania życia zwierzęciu na rzeź przeznaczonemu, znajdziemy tam wadliwości nie licujące bynajmniej z uszlachetnionem uczuciem człowieka. Zasadą być winno: szybkie i pewne działanie tak, by bydlę z oszczędzeniem mu cierpień w możliwie najkrótszym czasie żyć przestało.

Praktykowane sposoby bicia bydła są dwojakie: *a*) przez uderzenie obuchem i następne wyprowadzenie krwi, — i *b*) przez poderznięcie szyi.

Sposób ten ostatni zastosowywany przez starozakonnych opiera się na prawie Mojżesza i jakkolwiek nie zaleca się warunkami wypowiedzianemi, to jednakże z pod naszej krytyki się usuwa jako oparty na religijnych zapatrywaniach izraelitów, a zatem przez długie jeszcze lata pozostanie niewzruszony.

Inaczej rzecz się ma z użyciem obucha. Narzędziem tem bydlę otrzymuje uderzenie w głowę w miejsce między rogami; ogłuszone pada wprawdzie na ziemię, jednakże czucia w tej chwili nie traci, co zniewala bijącego do wymierzenia kilku jeszcze razów (6—7), by skutek osiągniętym został.

Jednorazowe, choćby najtrafniejsze uderzenie, nie wystarcza, a cóż dopiero, gdy ono chybionem będzie. Kto obserwował troskliwie, ten w drugim przypadku dostrzedz musiał na konającem bydlęciu taki wyraz twarzy, który wymownie świadczy o doznanych cierpieniach, — pomijając już przykry niekiedy ryk i pasowanie się ze śmiercią. — Nadto sposób ten i dla rzeźnika przedstawia pewne niekorzyści. Oto przez kilkakrotne silne uderzenia rozbijane bywają kości czołowe, które znów częstokroć miażdżą mózgowie a zawsze sprawiają obfite podbiegnienia krwi w tym organie.

Już w roku 1877 w miesiącu lutym Magistrat lwowski wystąpił z inicyatywą zmiany w sposobie zabijania bydła rzeźnego. *) I w tym celu sprowadził na próbę przyrząd t. z. *„boutterollea masque“* a przeprowadzone doświadczenia najwymowniej udowodniły pożyteczność tego instrumentu. Przedstawia on maskę z grubej skóry sporządzoną tak, że przykrywa całą przednią powierzchnię czaszki; ażeby oczy ucisku nic nie doznawały a zarazem dokładnie były przysłonięte, w miejscach odpowiednich znajdują się obszerne do 10 ctm. dochodzące wycięcia okrągławe, do brzegów których przyszyte są na zewnątrz wypukłe skóry. Rzemyki górne, na sprzączkę spinane, służą do założenia tychże poza rogi a zarazem do przytwierdzenia maski; ażeby ta znów swoim ciężarem nie opadała ku dołowi zapobiega rzemyk umieszczony pionowo i z poprzedniemi dowolnie się łączący. Tak przyrządzone rzemyki robią maskę przydatną na głowy większe i mniejsze (wyjąwszy bydło młode tak zwane bukaty). W środku maski na czoło przypadającym umieszczona jest okrągława płyta żelazna (około 8 ctm. średnicy) pagórkowato na zewnątrz sporządzona. Wydrążony pagórek przedstawia kanał cylindrowaty 3—4 ctm. długi, w który wkłada się żeleźce także cylindrowate długoścl około 12 ctm. Jeden koniec rzeczonego żeleźca zakończony jest płaską główką, koniec drugi do czoła zwrócić się mający zawiera otwór lejkowaty z ostrym brzegiem. — W końcu do przyrządu tego należy i młotek drewniany, kształtu młotków do korkowania piwa, znaczniejszych wszelako rozmiarów.

Przy pomocy takiej maski dobrze na głowę bydlęcia założonej z żeleźcem na środek czoła przypadającem, jedno niezbyt silne a

*) Inicyatywa wyszła od Towarzystwa. (Red.).

trafne uderzenie w jednej chwili powala bydlę na ziemię, ogłusza go zupełnie, odejmuje wszelką możność odbierania i oceniania wrażeń zewnętrznych. Jakkolwiek dostrzegane bywają odruchy nogami, lecz te są zupełnie bezwiedne, automatyczne. — Przeprowadzona sekcya mózgowia wykazała: iż gdy żeleźce w samem środku czoła zostało umieszczone, po przejściu przez kości czołowe trafia między połowy mózgu wielkiego i rani podstawę mózgowia; przy nieco bocznem ustawieniu żeleźca przechodzi jedną z połów mózgu wielkiego, naruszając również jego podstawę. — Takie urażenia odbierają w jednej chwili przytomność, nie pozbawiają jednakże jeszcze życia. Dla dopięcia i tego ostatecznego celu po wyjęciu żeleźca w zrobiony otwór wkłada się pręt żelazny grubości palca dziecięcego, który jako dłuższy dosięga mlecza przedłużonego rdzenia pacierzowego. Skaleczenie tych organów powoduje śmierć zupełną. — Dodać należy, że kości te czołowe nie bywają bynajmniej zgruchotane, mózgowie ani krwią podbiegłe, ani zmiażdżone, — co tylko pożądanem dla rzeźnika być może.

Całe działanie przy użyciu maski zajmuje około $^1/_2$ minuty czasu i zwierzę odrazu legnie bez przytomności i życia.

Tak korzystne doświadczenie spowodowało Magistrat do sprawienia kilkunastu masek z zamiarem odstąpienia ich tutejszym rzeźnikom i do wydania polecenia, by tylko tych przyrządów używać do zabijania bydła na t. z. „tref“.

Lecz niestety tylko kilku z panów rzeźników, zaprowadzili u siebie tę innowacyę; u wielu a mianowicie u ich czeladzi zastarzały przesąd i upór a przytem zła wola tych ostatnich uczyniły maskę — pobożnem tylko życzeniem.

W ostatnich czasach za pośrednictwem galic. Towarzystwa ochrony zwierząt sprowadzoną została z Monachium ulepszona maska Brunneau'a a próby z nią w miesiącu sierpniu b. r. w lwowskiej rzeźni miejskiej komisyonalnie przeprowadzone, przekonały dowodnie o zasadniczej wartości maski. — Życzyć tylko wypada, aby lwowscy pp. rzeźnicy z dobrą wolą przyjęli ten przyrząd i swej czeladzi stanowczo polecili używanie tylko maski do zabijania bydła rzeźnego.

Maska sprowadzona ma swoje zalety, ma i wady. Przyjmijmy jedne a odrzućmy drugie, a będziem mieć prawdziwie ulepszoną maskę, — Do zalet zaliczyć należy: *a*) wyższy pagórek w płycie żelaznej, co podłuża rurę cylindrowatą i zapobiega bocznym ruchom włożonego weń żeleźca; — *b*) sferoidalna powierzchnia główki żeleźca o tyle korzystniejszą jest od płaskiej, że gdziekolwiek padnie uderzenie, siła jego rozdziela się na całą główkę, — gdy tymczasem

uderzenie w brzeg główki płaskiej szczerbi ją często; — *c*) okrągłe kółeczka ze skóry, przy główce żeleźca umieszczone, mają tę doniosłość praktyczną, że po uderzeniu znajdując się między pagórkiem płyty a główką, jako miękkie zapobiegają odłamywaniu się tych ostatnich.

Ujemną stronę przedstawia blacha z lanego żelaza, która tu zastępuje miejsce skóry przy „*bouterolle à masque*“; porą zimową a nawet i letnią byle nieostrożne rzucenie maski na podłogę kamienną łatwo pęknięcie i nieprzydatność maski spowodować może, dalej, że blacha ta czyni maskę Brunneau'a droższą i trudniej we Lwowie do naśladowania, — że okulary ze skóry zasłaniające li przód oczu dozwalają widzieć z boku niektóre przygotowania, co jako niepokojące zwierzę miejsca mieć nie powinno. *I. K.*

Widząc, że wykonanie uchwały Reprezentacyi miasta Lwowa z dnia 23. kwietnia 1877 (obwieszczono dnia 29. maja 1877 L. 9104) którą wyłączne używanie maski p. Brunneau w nowej rzeźni miejskiej nakazanem zostało, u rzeźników lwowskich natrafiło na upór niczem nieusprawiedliwiony, staraliśmy się kilkakrotnie przedstawieniami wyjednać u niektórych wpływowych rzeźników wprowadzenie tego przyrządu w drodze dobrowolnego porozumienia. Usiłowania nasze spełzły na niczem. — W sierpniu b. r. sprowadziliśmy za pośrednictwem Tow. monachijskiego ulepszoną maskę firmy Stotz w Sztutgardzie. Próba odbyta w rzeźni miejskiej dnia 7. września br. w obecności fizyka i weterynarza miejskiego tudzież innych rzeczoznawców i rzeźników, dalej członków Magistratu i delegata Towarzystwa wypadła pod każdym względem zadowalająco, jak świadczy powyższe sprawozdanie weterynarza miejskiego p. Kubickiego. Dodać tu tylko winniśmy doświadczenia p. Saura, weterynarza nadwornego w Sztutgardzie, autora ulepszeń na masce, z którą odbyto próbę, a które zgodne są z powyższem sprawozdaniem p. Kubickiego. — P. Saur mówi: Na przebitych 15 kościach czołowych przekonałem się najdokładniej, że równocześnie z wtłoczeniem bełtu żelaznego w mózg także i wytłoczona część kości do mózgu się dostaje, przezco błonki mózgowe bywają poprzerywane i „*Sinus frontalis*“ zostaje otworzony poczem zakrwawienie podstawy mózgowej i kompresya całego mózgu następuje.

W każdym wypadku zabicia wołu tą maską, znalałem w mózgu wtłoczone cząstki kości czołowej, które wywierają nań taki nacisk, że o jakimkolwiek czuciu i przytomności mowy niema. — Dalej zna-

lazłem we wszystkich wypadkach zbiegłą krew u podstawy mózgu między błonami mózgowemi, które powstają bezpośrednio po każdem skaleczeniu. — Zwierzęta padają za pierwszem uderzeniem, jak piorunem rażone i zwykle niedostrzega się na nich żadnych dalszych ruchów. Na podstawie powyższych doświadczeń mogę twierdzić z apodyktyczną pewnością, że używanie maski, uznanem być powinno, za jedyny i najlepszy z dotychczas znanych i używanych sposobów zabijania bydła rzeźnego i dlatego ten sposób został jeszcze w roku 1877 wyłącznie i obowiązkowo w Sztutgardzie zaprowadzony.

Według zapewnien p. prezydenta miasta zostanie w tych dniach wydany ponowny nakaz wyłącznego używania rzeczonej maski w rzeźni miejskiej, my zaś z naszej strony nieomieszkamy wpływać na przekonania pp. rzeźników lwowskich, aby sami z własnej woli starali się o wprowadzenie tego przyrządu do zabijania wołów, nieopuszczając do tego, aby do uczucia ludzkości i własnych korzyści przynaglano ich grzywnami. *F. L.*

Dr. Holub

o ochronie zwierząt w południowej Afryce.

Wiedeńskie Tow. ochrony zwierząt odbyło tego roku dnia 26. czerwca czwarte zgromadzenie wędrowne w St. Pölten. Przyjęcie gości wiedeńskich przez Reprezentacyą i ludność St. Pölten było bardzo uroczyste i serdeczne. Liczna publiczność zapełniła miejską salę teatralną, w której odbyło się publiczne posiedzenie, a które zaszczycił swą obecnością minister-prezydent ks. Adolf Auersperg. Na tem posiedzeniu miał wykład podróżnik po Afryce Dr. Emil Holub o obchodzeniu się murzynów i boerów ze zwierzętami domowemi i dzikiemi w południowej Afryce.

Sławny ten badacz-przyrodnik skreślił na wstępie w krótkich rysach obraz topograficzny krajów południowo-afrykańskich poczem przystąpił do opisu tamtejszych zwierząt domowych. Przed osiedleniem się tamże „białych“ krajowcy niewiedzieli nic o koniu, znali tylko pręgowatą i niepręgowatą żebrę, Quaggas zwaną. Posiadali dwie rasy wołów t. j. rasy Hotentotów i Zulusów. Rasa Zulu jest nadzwyczaj nizka a przedłużna i do pociągów bardzo użyteczna. — Ogromne wozy, ciągnione 18 takiemi wołami stanowią jedyny środek komunikacyjny, zapomocą którego cywilizacya dostaje się od wybrzeży do wnętrza kraju. Ta rasa jest jeszcze dla tego bardzo pożądaną, że zwierzę to bardzo prędko się nakarmi, potrzebując do

nasycenia się i odpoczynku zaledwie dwie godziny czasu, czego u innych wołów nie zauważaliśmy. Rasa Hotentotów odznacza się wspaniałemi rogami i ma przedewszystkiem tę własność, że znosi pragnienie przez czas długi i dla tego do podróży w miejscach piasczystych i bezwodnych, które przez kilka dni przebywać potrzeba, jest nieocenioną. — Drugie zwierzę krajowe stanowią od dawna także znane owce krajowe z ogromnym ogonem tłuszczowym.

Trzeciem zwierzęciem domowem jest koza, na łopatkach i nogach długiemi włosami wełnistemi porośnięta.

Psów jest tylko jeden rodzaj podobny do naszych psów gończych, chartów, kóre jednakże są silniej zbudowane, kudłate i zaopatrzone w silne pazury do grzebania. Kotów nie znali krajowcy wcale, chociaż rodowód kotów naszych pochodzić ma z Afryki. — Drób jest mały, nikły i mało hodowany.

Co się tyczy obecnego stanu zwierząt domowych, pierwsze miejsce zajmują konie w ogromnych stadach a mianowicie: konie angielskie, i konie oswojone, za krajowe, swojskie uznane. Konie boerów, traber, są bardzo wytrwałe. Oprócz tych znajdują się tam osły i muły z Buenos-Ayres na okrętach sprowadzane. — Co do bydła są tam już i krowy holenderskie, i różne rodzaje uszlachetnionych owiec a przeważnie merynosy. — W nowszych czasach pomnożono liczbę zwierząt domowych kozami-angora, gołębiami, kurami, pawiami, pantarkami, gęsiami i kaczkami.

Mieszkańcy miast w ogóle a szczególniej anglicy obchodzą się ze zwierzętami bardzo dobrze. Wszystkie zwierzęta domowe, — z wyjątkiem koni, które tylko u ludzi zamożniejszych mają swe stajnie — pozostają przez rok cały pod gołem niebem, gdyż zima w tych okolicach jest tak łagodną, że śniegi spadłe w nocy około godziny 8 rano ltopnieją zupełnie. Ogromne stepy pokryte wysoką, gęstą trawą, zie enią się przez 9 miesięcy, a przez trzy miesięcy zimowe oblekają się tylko barwą żółtą lub brunatną. Konie pasą się wolno, woły zaś lubiące wędrówki, pasą się pod nadzorem pasterzy, a na ze, spędzane bywają w miejsca ogrodzone kamieniami. — Czasem się zdarza, że i koń się zabłąka, a wiedzieć należy, że miasta także oddalone są jedno od drugiego o 15 do 120 mil angielskich, wsi nie ma żadnych i tylko odosobnione istnieją gospodarstwa, fermy. Dla odzyskania zabłąkanego konia postanowił rząd tamtejszy, że właściciele ferm są obowiązani utrzymywać zabłąkanego konia przez miesiąc i ogłosić, jakie konie cudze znajdują się u nich. Gdy na wyznaczonym terminie właściciel po konia swego się nie zgłosi, zostaje koń

sprzedany, a jedna połowa uzyskanej za niego kwoty przypada państwu, druga właścicielowi fermy.

Boery obchodzą się ze zwierzętami domowemi wcale dobrze, chociaż dla zwierząt dziko żyjących nie mają żadnych względów i tępią je bezmyślnie i nielitościwie. — Polują na nie tylko dla futer i skóry pozostawiając mięso szakalom. — Rząd tamtejszy ochrania tylko pewne zwierzęta a mianowicie słonia i pewny rodzaj wężów, inne zwierzęta dzikie wyjęte są z pod prawa. — Niektóre fermy Holandczyków mają do tysiąca kóz-angora i do 3 lub 4 tysięcy owiec. Od boerów nauczyć byśmy się mogli, jak się obchodzić należy z bydłem domowym, i że zwierzęta te u nas w ogóle jako głupie okrzyczane, bez użycia siły brutalnej powodować się dadzą. Boery nadają każdemu wołowi pewną nazwę jako to: „Englischmann", „Spielmann" „Wichmann" do których woły jak psy się przyzwyczają. W skutek tego przy pociągach swych nie używają wcale batogów. Gdy jeden lub drugi wół nieco się odciąga, wystarcza nawoływanie jego nazwiska do wypełniania swego obowiązku.

Niektóre pokolenia murzynów jako to, „Buszmani", „Hotentoci" i „Basuty" oddają się teraz z zamiłowaniem hodowli zwierząt domowych. Ci ostatni, liczący razem do 40.000 głów, mężczyzn, posiadają nad 35.000 koni, 150.000 wołów i do pół miliona owiec. Wyprzedzają ich w tem jeszcze murzyni z pokolenia Betschuana. Aby przyjść w posiadanie pewnej liczby zwierząt domowych idą oni w służbę do boerów całemi rodzinami, mąż, żona, dzieci, i niewolnicy, gdzie strzegą przez rok cały w pewnych im wyznaczonych miejscach konie i bydło domowe. Po ukończonym roku otrzymuje według umowy: mąż konia i dwa woły, żona dwie krowy, dziecko dwie kozy. — Przyszedłszy w ten sposób po kilku latach służby do własności pewnej liczby bydła, powracają z niem napowrót do swych domów.

Zulusy posiadają najlepsze i najpiękniejsze zwierzęta domowe szczególniej bydło.

Na naganę zasługuje sposób zabijania zwierząt domowych u Marutów i u pokoleń mieszkających w północnych częściach południowej Afryki. Wbijają oni zwierzęciu albo z obydwóch stron lub tylko z jednego boku dzidę z rękojejścią jeden metr długości i puszczają je; — zwierzę pędzi jeszcze kilkaset kroków jak wściekłe z bolu, przewraca wszystko co mu w drodze, często kaleczy i zabija ludzi, aż padnie nieżywe.

Wiwisekcye.

(Konkurs do rozpraw).

Towarzystwo ochrony zwierząt w Bernie [1]) postanowiło w walce przeciw nadużyciom wiwisektorów bronić następujących sześć tez: 1) wiwisekcyi nie wolno wykonywać jedynie do illustracyi albo udowodnień wykładów akademicznych, jakiegokolwiek bądź rodzaju, ani też do kontroli badań drugich; 2) uczniom ma być każdy rodzaj prywatnych wiwisekcyi najostrzej zakazany; 3) wiwisekcye przedsiębrane być mogą tylko przez znakomitości naukowe i pod możliwą kontrolą władzy policyjnej; 4) niewolno nigdy używać do wiwisekcyj zwierząt wyższej organizacyi, mających krew ciepłą, a mianowicie psów i koni, jako istot żyjących najbliżej z ludźmi i z nimi niejako zaprzyjaźnionych; 5) zwierzęta należy poprzód wprowadzić w stan nieczułości (odurzenia), niewolno jednak do tego nigdy używać trucizny *curare*; po dokonanej zaś wiwisekcyi, która odbyć się ma możliwie szybko, należy zwierzę natychmiast zabić w sposób najmniej boleśny; nakonieo 6) we wszystkich wypadkach należy zabronić wiwisekcyi, gdzie martwy materyał do osiągnienia celu wystarcza.

Towarzystwo duńskie pod protektoratem i opieką króla, rozpisało nagrody 2000 i 1000 franków za napisanie dwóch najlepszych rozpraw naukowych na temata: „jak i o ile mogłyby dopiero co zabite zwierzęta zastąpić żywy materyał do badań fizyologicznych [2]) z szczegółowem wskazaniem wypadków dotychczas nieznanych, które taką substytucyę umożliwiają“.

Oprócz tego należy w piśmie konkursowem wyszczególnić wypadki, w których obecne okrutne i bolesne wiwisekcye badaniami innego rodzaju mogłyby być zastąpione, oraz należy wskazać środki do umniejszenia i ukrócenia cierpień zwierzęcia żywcem rozbieranego.

Rozprawa, którą nadesłać należy najdalej do 1. Września 1882 do Jego Excellencyi P. A. Haxthausen, w biurze Tow. ochr. zwierząt w Kopenhadze, może być napisaną w języku niemieckim, francuskim, angielskim, szwedzkim i duńskim. Posełka ma zawierać *motto*, a w kopercie nazwisko i adres autora.

---

[1]) Miasto naczelne kantonu największego i najludniejszego w Szwajcaryi.

[2]) Prof. Schiff mówi: W wielu wypadkach można badać funkcye życia na zwierzęciu dopiero co zabitem.

Petycya komitetu dam finladzkiego schroniska i szpitalu w Rydze wystosowana do ministra sprawiedliwości przeciw wiwisekcyom zawiera prawie te same tezy, iak Tow. berneńskiego z rozszerzeniem jeszcze zakazu co do kotów i królików, które jako łatwiej nabyć się dające i tańsze służyć muszą najbardziej do nadużyć przy wiwisekcyach prywatnych.

Minister-prezydent hr. Taaffe odpowiedział delegacyi, złożonej z członków Tow. wiedeńskiego przy doręczeniu petycyi o ograniczenie i o ustawodawcze uregulowanie wiwisekcyi, że zgadza się najzupełniej z żądaniem Towarzystw austryackich, że jednakże dla potrzebnego zbadania nie da się przeprowadzić ta sprawa w drodze ustawodawczej jeszcze w bieżącej sessyi Rady państwa, jednakże zarządzi co potrzeba w drodze administracyjnej, i że Tow. liczyć może w tym względzie na poparcie ministra oświaty. *F. L.*

Strzelanie do gołębi.

Dziwnem zaiste jest to, że wszystkie złe zwyczaje zagranicy u nas tak chętnych znajdują naśladowców, a jeszcze dziwniejszem, że zaczynamy je małpować dopiero wtedy, gdy tam, gdzie je praktykowano, już albo zupełnie ustały albo zwalczane bywają wszelkiemi intelektualnemi siłami i środkami. Chcemy tu mówić o dzikiej zabawie strzelania do gołębi.

Gdy w Niemczech zwyczaj ten wielce rozpowszechniony zupełnie już ustał, a cesarz Niemiec wynalazcy bań szklannych, napełnionych pierzem i wyrzucanych sprężyną w powietrze, a które przy tej zabawce próżniaków żywe gołębie zastąpić miały, — wyraził swe najwyższe uznanie i podziękę, gdy w Belgii w kąpielach nadbrzeżnych, sport ten gołębi zeszedł już do najmniejszych rozmiarów, i jest nadzieja, że w obec starań tamtejszego Tow. ochrony zwierząt wkrótce zupełnie zaniechanym będzie, u nas, w miasteczku Bóbrce, komitet urządzający dnia 19. czerwca b. r. festyn ludowy w lasku w Staremsiole, złożony z obywateli miejscowych i okolicznych, przyjmuje do programu i dla urozmaicenia zabaw także i strzelanie do gołębi. Piękny to przykład umoralniający dla ludu, gdy widzą taką zabawę ludzi inteligentnych, w której postrzelone te miłe i niewinne ptaki, z oderwanemi nóżkami, dzióbami i pokaleczonemi skrzydłami, odleciawszy od miejsca morderstwa, spadają między zboża i zarośla,

gdzie w okropnem stanie bolu i głodu po długich męczarniach ginąć muszą i w takim stanie przez włościan na ich polach nadybywane bywają.

Właśnie dowiadujemy się, że pewien kapitan Bogardus w Nowym Yorku otrzymał od tamtejszego Tow. opieki nad zwierzętami wielką nagrodę za wynalezienie przyrządu, służącego do wprawiania się w strzelaniu w lot. Silna sprężyna, wyrzuca w górę kulę szklanną, napełnioną wewnątrz pierzem, tak, że w razie rozbicia kuli śrutem, pierze ulatuje z wiatrem tak jak zwykle przy postrzeleniu kuropatwy lub bażanta. Zabawka ta tak powszechnie podobała się i została przyjętą przez amatorów, że dotychczasowe strzelanie do gołębi umyślnie na ten cel chowanych, zupełnie prawie zostało zaniechanem w Stanach Zjednoczonych. We Francyi Izby postanowiły prawo, noszące nazwisko swego autora p. Grammont, przeciw niepotrzebnemu tępieniu gołębi dla zabawki.

Tępienie ptaków śpiewających w Lombardyi.

Za dziesięć franków taksy wolno w sierpniu każdemu polować i włóczyć się ze strzelbą gdzie tylko i kędy chce. — O miesiąc później rozpoczyna się łowienie ptaków sieciami. Tak zwane „*rocolo*“ przeznaczone jest do łowienia drozdów. Ptak-wabik zwołuje drozdy w miejsce otoczone gałązkami i siatkami do pięć metrów wysokiemi. Gdy już więcej ptaków wejdzie w matnię, zapędzane bywają żerdziami w jeden kąt i tamże zamykane. W pierwszej połowie października łowią w ten sposób od zarania do godziny ósmej do 150 ptaków. Gdy zważymy, że na wzgórzach w Brianza a szczególniej w prowincyach Bergamo i Brescyi niezliczona istnieje ilość takich *rocolo*, przypuszczać możemy, że miliony ptaków śpiewających wpadają w nie. Stosownie do miejsc przelotu urządzają odpowiednio *rocolo*, w Bresanella na ptaki małe, w Kopertoni na skowronki. R o c o l a t e są przeważnie własnością ludzi majętnych.

Nadzwyczaj okrutnym jest sposób w jaki wabiki do swego smutnego zawodu bywają wychowywane. Na wiosnę, gdy ptaszęta śpiewać zaczynają, wybierają drozdy, kosy, zięby i inne ptaki i srodze je dręczą, aby przytłumić w nich chęć śpiewania lub odroczyć takowe do czasu odpowiedniego. Najpierw oślepiają je na jedno oko — a po ośmiu dniach na drugie za pomocą rozpalonego drutu; po dalszych ośmiu dniach wydzierają im piórka ze skrzydeł i lotki, poczem ptaki z boleści nie myślą już o śpiewaniu. Aby im cierpień przysporzyć, i niedopuścić świeżego do nich powietrza, za którem chore

ptaszęta tak łakną, zaciemniają i zamykają szczelnie miejsca w których są trzymane. W takim stanie przebywają te nieszczęśliwe zwierzątka całą wiosnę i większą część lata. Na kilka tygodni przed czasem łowów wpuszczają nieco świeżego powietrza, — za co ptaszęta, jakby z wdzięczności poczynają świegotać; później otwierają okna a śpiew wesoły i głośniejszy niżeli ptaków widzących zapełnia więzienie oślepionych; — nareszcie wynoszą je na wolność i tu oślepione ptaszęta z wdzięczności za promienie słońca, którego nie widzą i za świeże powietrze śpiewają przez dnie całe, wabiąc swoich towarzyszy do zasadzki.

Jak rozpowszechnionem jest we Włoszech tępienie ptaków i że zwyczaj ten stanowi prawie odrębny przemysł południowców, wykazywaliśmy już w poprzednich rocznikach Miesięcznika, a teraz tylko dodajemy, że na wyspie Capri i w innych prowincyach nadbrzeżnych stanowi on dziesięcinę dla biskupów, a nawet jak „*Italie*“ donosi, urządzono tej jesieni w ogrodach watykańskich nowe *rocolo* czyli siecie do łowienia ptaków, i że od dawnych już lat istnieje tamże stale do tego ustanowiony łowczy, który dotychczas zwykł był pobierać dla siebie część lwią z połowu, obecnie zaś cała zdobycz podzieloną być ma na dwie równe części, z których jedna należy do kuchni papieskiej, druga zaś do kuchni innych zakładów religijnych.

Także i w innych krajach południowych a nawet w Hollandy i na wyspie Helgoland dzieje się to samo, gdzie szczególniej zięby przez gości kąpielowych są najbardziej poszukiwane i cenione.

Przed dwoma laty zastanawiano się, czy nienależałoby łowów sieciami zupełnie zabronić a tylko polowanie strzelbą jako mniej pustoszące dozwolić.

Ponieważ ptaki są własnością międzynarodową, i w ościennych krajach środkowej Europy dla ich pożyteczności otaczane są troskliwą ochroną, powinny rządy już raz stanowczo wdać się w tę sprawę i wymusić na Włochach zaniechanie tego rabusiowskiego tępienia ptaków.

Sprawę tę podniesiono na drugim kongresie niemieckich Tow. ochrony zwierząt odbytym tego roku w dniach 12. do 14. września w Wiesbadenie. Tamże zdawał sprawę Dr. Ulrich z Wrocławia w tym przedmiocie. Przed rokiem już wystąpił energicznie przeciw temu poseł niemiecki w Paryżu ks. Hohenlohe i z jego inicyatywy uczyniono do niemieckiego parlamentu wniosek o zawarcie konwencyi międzynarodowej między Niemcami a Włochami w celu ochrony ptaków śpiewających, gnieżdżących się w Niemczech. Niestety wniosek, ten opracowany przez komisyę „reichstagu“ nie doszedł do uchwały

Na rzeczonym kongresie uchwalono wnieść petycyą do kanclerza państwa niemieckiego, aby bądź to w drodze międzynarodowego ustawodawstwa, bądź analogicznie z konwencyą między Austro-Węgrami a Włochami w r. 1875 zawartą, uregulowano tę sprawę między Niemcami, Włochami, Francyą, Hollandyą, Belgią i Grecyą.

Ustawy i rozporządzenia.

O zakazie łowienia zwierząt w pewnym czasie.

Wyciąg z ustawy z dnia 30. stycznia 1875 (Nr. 16 dz. u. kr.).

§. 1. Nikomu nie wolno w czasie poniżej oznaczonym polować, łowić lub zabijać następujące rodzaje zwierzyny:

8) przepiórki i dzikie gołębie od 1. listopada do 15. lipca;

13) łanie, kozy, cielęta i spiczaki tudzież kury głuszczów i cietrzewi przez cały rok.

§. 2. Zakazanem jest łowienie zwierzyny na sidła, żelaza, łapki i inne tym podobne przyrządy.

§. 5. Przekroczenie postanowień §§. 1 i 2 tej ustawy podlega grzywnie od 5 do 50 złr. Jeżeli jednak wyrządzona szkoda z powodu ubicia większej ilości zwierzyny jest znaczną lub przestępstwo powtórnie popełniono, może być grzywna aż do 100 złr. podwyższoną.

C. k. rząd przedłożył sejmowi niższo-austryackiemu do uchwały następujące zmiany ustawy o ochronie zwierząt z dnia 19. lutego 1873.

Nie wolno polować: cietrzewi (Birkhuhn) od 15. czerwca do 31. sierpnia;

co do jeleni, młodzież ochranianą być ma aż do 1. października roku jej urodzenia;

kóz dzikich, giemz nie wolno polować, łowić i zabijać w roku jej urodzenia.

Sprzedający lub pośredniczący w sprzedaży dziczyzny, pochodzącej z poza obrębu ustawą objętego, w czasie jej ochrony, muszą dokładnie wykazać miejsce pochodzenia dziczyzny, a gdy takowa pochodzi z krajów w Radzie państwa zastąpionych, muszą nadto udowodnić poświadczeniem władzy powiatowej politycznej, że taż dziczyzna nie została złowioną w sposób ustawą zabroniony. W przeciwnym wypadku podpadną i ci karom ustawą zagrożonym.

Ustawa ta wchodzi w moc prawną od 1. stycznia 1882.

Karty do polowania dla oficerów.

Według rozporządzenia c. k. ministerstwa wojny, muszą wszyscy oficerowie, chcący polować, postarać się o karty do polowania, gdyż według ustawy z dnia 29. grudnia 1880 nie wolno nikomu oprócz w miejscach zupełnie ogrodzonych i zamkniętych polować bez takiej karty. — Każdy oficer, czy to w ubraniu wojskowem czy w myśliwskiem, obowiązany jest okazać tę kartę na każde żądanie organów kontrolujących. Polowanie bez takiej karty, odstąpienie tejże komu innemu, lub użytkowanie karty cudzej karane być ma po raz pierwszy grzywną do 20 złr. a w powtórnym razie grzywną do 50 złr.

Wydział krajowy galicyjski udał się do c. k. Prezydjum Namiestnictwa z prośbą, ażeby toż poparło u władz centralnych projekt krajowego Towarzystwa rybackiego, tyczący się zawiązania układów międzynarodowych w przedmiocie zarybienia Dniestru i Prutu, tudzież ochrony ryb w tychże rzekach i wystosował do wszystkich Wydziałów powiatowych okólnik z wezwaniem, ażeby poparły u c. k. Ministerstwa rolnictwa memorjał komitetu c. k. gal. Towarzystwa gospodarskiego w sprawie produkcji i sprzedaży soli bydlęcej.

Ces. kr. Namiestnictwo wydało do wszystkich władz politycznych okólnik, którym sprzedaż rybiej trutki podciągnięto pod postanowienia rozporządzenia ministerjalnego, zawierające szczegółowe zastrzeżenia przy sprzedaży trucizny.

KORESPONDENCYE.

Nowysącz. P. Franciszek Schilling w Nowymsączu, gorliwy członek Tow. objawia swe powątpiewanie nad zdaniem naszem, wyrażonem w poprzedniem numerze Miesięcznika, jakoby z wejściem w życie szkoły weterynaryi we Lwowie poprawić się miały nasze miejscowe stosunki, szczególniej co do ochrony psów, narażonych teraz z powodu grasujących denuncyacyj na bezwzględne tępienie tychże pod pozorem, jakoby podejrzanych o wściekliznę lub styczność z takiemi mających.

W szkołach weterynarskich używają dla nauki doświadczalnej często wiwisekcyj. Aby zwierzę chore wyleczyć, zaszczepiają chorobę zwierzętom zdrowym i dręczą je okropnie aż do śmierci. — Według orzeczenia M. Schiffa, dyrektora genewskiego zakładu fizyologicznego,

doświadczania i operacye na zwierzętach nieżywych o wiele są dla nauki korzystniejsze, niż na zwierzętach żywych.

Podzielamy najzupełniej obawy Szanownego członka tembardziej, że w obecnych czasach ogólnego zdziczenia, trudno znaleźć granicę między rzetelną nauką i chęcią wiedzy, a dogadzaniem efemerycznem fałszywej ambicyi i lenistwu. Gdyby adepci nauki nie byli leniwi do czytania i przyswajania sobie prawd już dowiedzionych, zawartych w rozlicznych dziełach powag naukowych, obeszliby się bez ciągłych i nowych badań nad rozwiązaniem problematów, które dziś już stoją jako niewzruszone prawdy.

Opierając się na reskrypcie c. k. ministerstwa spraw wewnętrznych z dnia 28. kwietnia 1881 L. 2617 *) wydanym wskutek petycyi Tow. wiedeńskiego i wszystkich Tow. austryackich, według którego wiwisekcye przedsiębrane być mogą li tylko wtedy, gdy chodzi o rozwiązanie problematu naukowego, który w inny sposób rozstrzygniętym być nie może, przestrzegać go będziemy, i o każdym nadużyciu, które dojdzie do wiadomości naszej, donosić będziemy władzy kompetentnej.

Gorlice. Od p. Romana Andrusikiewicza, c. k. okręg. inspektora szkół, otrzymaliśmy jeden egzemplarz broszurki opracowanej przez niego i przedłożonej jako wniosek pod obrady krajowej konferencyi nauczycieli szkół ludowych odbytej w sierpniu b. r. we Lwowie, pod tytułem: „Projekt uposażenia szkół wiejskich gruntami“.

Autor broszury jako człowiek fachowy, zawodowi swemu zupełnie oddany, na podstawie wieloletniej praktyki ze stanem szkolnictwa najgruntowniej obeznany, roztacza w niej poglądy co do reformy szkół ludowych według swego najgłębszego przekonania i wiedzy, a ogłaszając je drukiem i żywem słowem, wielką nią oddaje przysługę sprawie, która obecnie i to w najwyższym już czasie, żywo zajmuje umysły ludzi w tym zawodzie kompetentnych, o przyszłość kraju i oświatę ludu dbałych i jej życzliwych.

W sprawie reformy szkół ludowych, w myśl poglądów przez autora gruntownie opracowanych, przemawiają również bardzo poważne i w szkolnictwie poważane głosy, uznając potrzebę nadania szkołom ludowym wiejskim kierunku więcej realnego, praktycznego, odpowiedniego rzeczywistemu stanowi kraju i potrzebom tegoż, wiodą-

*) Ob. Miesięcznik 1881 str. 108.

cego do prawdziwego celu oświaty ludowej. Widząc niepraktyczny kierunek i system nauki w szkołach ludowych, widząc marnowanie czasu i sił bez pożytku dla kraju a względnie ludu, chcąc zapobiedz wadliwemu ustrojowi temu, podnosi autor swój głos zupełnie do tego uprawniony.

Z życzliwości naszej dla nauczycieli szkół ludowych i okazywanej nam wzajemnie przez nich przychylności, zalecamy to dziełko każdemu naszemu przyjacielowi i ich kolegom, a które otrzyma każdy bezpłatnie zgłaszając się wprost do autora w Gorlicach.

Autor zapowiada również o drukującej się już drugiej pracy jego w dziale pedagogii, pod tytułem: „Latarnia dydaktyczna", zawierającej analizę planu naukowego przeprowadzoną nie w teoryi, lecz praktycznie, która z końcem lutego 1882 opuści prasę. Przedpłata wynosi 2 złr.

Lwów. Pewna uboga kobieta, znana przyjacielka zwierząt, przyszła dnia 17. października b. r. około godziny 5 po południu do sekretarza Tow. trzymając na ręku pieska małego udławionego kosteczką i prosiła o radę i pomoc dla biednego i duszącego się zwierzęcia. — Ponieważ weterynarz miejski p. Kubicki, do którego taż sama kobieta w podobnych wypadkach już kilkakrotnie się udawała i miała do niego zaufanie, wyjechał był na kilka dni ze Lwowa, odesłał ją sekretarz Tow. do p. Leopolda Haasego, wolno praktykującego we Lwowie weterynarza a członka Towarzystwa, polecając jej, aby w jego imieniu prosiła go o ratunek dla pieska.

Z płaczem powróciła znowu do sekretarza, żaląc się, że p. weterynarz odmówił jej wszelkiej pomocy doraźnej, każąc jej przyjść dopiero na drugi dzień o godzinie 9 rano. — W nocy jednak piesek zginął na uduszenie.

Gdyby nawet był dożył do godziny 9 rano, nie byłaby się powtórnie z nim udała do p. weterynarza, który dopytując się tylko o numer domu i właściciela psa, posądzając go, że jest podejrzanym, wzniecił w niej obawę, że ma zamiar oddać psa oprawcy do zabicia jako podejrzanego.

Ponieważ u nas we Lwowie, nieznaną jest żadna inna choroba psa, tylko wścieklizna, o czem nas tegoroczna razzia dostatecznie przekonać się starała, oświadczam, że piesek ten, dokładnie mi znany, w dzień poprzód w niedzielę najweselszy i najzdrowszy biegał, a

w poniedziałek się udławił i zginął, — nie było więc żadnego powodu do podejrzywania.

Gdy we Wiedniu, gdzie z powodu nieodpowiedniego utrzymywania psów, jak zwykle w wielkich miastach, wścieklizna częściej się pojawia, na oddanych do c. k. wojsk. zakładu weterynaryjnego w miesiącach lipcu, sierpniu i wrześniu b. r. a zatem w czasie kanikuły, 101 psów, które pokąsały ludzi, żadnego nieuznano wściekłym, to u nas we Lwowie, w tymże samym czasie, padły setki psów pod pałką oprawcy, jako podejrzane.

Ponieważ p. weterynarz Haase, nie poczuwał się, ani jako wolno praktykujący weterynarz we Lwowie, ani jako członek Towarzystwa do dania doraźnej pomocy psu udławionemu, ani nawet do koleżeńskiego zastąpienia w czasie nieobecności weterynarza miejskiego, spodziewamy się, że nie pozostawi nas bez odpowiedzi, o co go dla salwowania tytułu, jako członka Towarzystwa wzywamy; a to tembardziej, że wszyscy weterynarze warszawscy, członkowie tamtejszego Tow. ofiarowali sami swą bezpłatną pomoc ludziom uboższym a względnie ich zwierzętom, a u nas nawet za wynagrodzeniem otrzymać jej nie można.

Tarnopol. Dręczenie zwierząt różnego rodzaju w mieście jak Tarnopol, niepowinno by wcale być widzianem, a jednak jeden z naocznych świadków donosi nam, że kilkakrotnie widział, jak pod pagórek, wiodący z miasta do cmentarza, furmani z przeładowanemi wozami bez podprzęgania, okładają konie kijami, zmuszając do wyjazdu; podobnie dzieje się znowu przy sprowadzaniu z ciężarem z góry, gdzie zmuszają biciem biczyskiem po głowie, by konie wóz bez hamulca wstrzymywały. — Chociaż ten fakt prawie co dnia spotkać można, jednak usprawiedliwia się tem, że to już za miastem, ale, aby tragarze i przykupnie przez najgłówniejsze place i ulice, kury, kaczki, gęsi, z powiązanemi nogami na drążkach nosili, lub też w lecie chłopcy z młynkami z chrabąszczów zrobionemi, po ulicach miasta uganiali, tego spodziewaćby się nie powinno. — Czy nie znajdzie się na tyle osób, przychylnych naszej sprawie w Tarnopolu, ażeby mogli się połączyć w Oddział i wspólnemi siłami wystąpić przeciw tym nadużyciom, a spodziewamy się, że tamtejszy urząd gminny chętnie wesprze tamtejszych członków i dotyczące doniesione mu przekroczenia surowo karać będzie. *)

---

*) Starania nasze w celu utworzenia Oddziałów w Tarnopolu i Stanisławowie nie odniosły pożądanego skutku.

Gospodarstwo.

O nader ważnem dla rolników odkryciu najnowszem znakomitego badacza francuskiego Pasteura, odnoszącem się do zarazy bydła, zwanej karbunkułem, obszerne podają wiadomości naukowe pisma francuskie. Z obszernego sprawozdania H. Parville w *Jour. des Débats* wyjmujemy następujące najważniejsze szczegóły o odkryciu, które doniosłością praktyczną przewyższa wszystkie dawniejsze rzeczonego badacza. Wiadomo, jak straszną jest zaraza wspomniona, wytępiająca rok rocznie we wszystkich krajach niezliczone mnóstwo baranów, owiec, krów i t. p. Jest to jedna z najstraszniejszych plag dotykających rolnika, który dotąd wobec tej choroby czuł się prawie bezsilnym. Są okolice, w których zaraza ta objawia się stale; zagnieździła się tam tak mocno, że ją trudno wykorzenić. Otóż obecnie słynny bakterjolog Pasteur znalazł sposób stanowczy, o ile dotychczasowe doświadczenia wykazały, zabezpieczenia zwierząt od karbunkułu. Sposób ten ma wielkie podobieństwo do sposobu używanego celem zabezpieczenia ludzi przed ospą, a odkrytego jeszcze przez Jennera. Mamy tu na myśli szczepienie krowianki, którego użyteczność stała się tak oczywistą, iż je prawie wszędzie obowiązkowo zaprowadzono. Pasteur szczepi bydłu karbunkułowy zarazek (*virus)* odpowiednio przygotowany, wywołujący tylko lekkie przypadłości, po których zwierzęta szybko do siebie przychodzą. Osobniki, którym zaszczepiono osłabiony zarazek, już więcej nie są zdolne do przyjęcia choroby prawdziwej. Można im szczepić pod skórę materyę z trupa karbunkułowego, nie obawiając się zarazy. Fakt to niezmiernej doniosłości; lecz niedowierzano jego prawdziwości, dopóki próby na wielką skalę zrobione nie rozstrzygnęły kwestyi stanowczo. W Melun towarzystwo rolnicze dało Pasteurowi do rozporządzenia 60 baranów i 10 krów, na których miano stwierdzić skuteczność karbunkułowego szczepienia. Część bydła poddana była szczepieniu, reszta pozostawiona bez zmiany. Dnia 31. maja zarażono sztucznie silnym zarazkiem karbunkułowym wszystkie okazy i po dwóch dniach zjechała się komisya, oraz mnóstwo weterynarzy z całej Francyi, aby się przyjrzeć skutkom. Rezultat był prawdziwie cudowny. Wszystkie barany, zabezpieczone według metody podanej przez Pasteura, były zupełnie zdrowe, reszta wyginęła na karbunkuł co do jednego.

We Francyi giną rok rocznie na karbunkuł zwierzęta, przedstawiające 2 miliony franków wartości. Słynny uczony francuski uczynił więc drugie następujące doświadczenie: Zaszczepił z 50 owiec 25, a drugą połowę pozostawił losowi. Po 14 dniach zaś zaszczepił

znowu ostrym jadem wszystkie owce, 25 zaszczepionych bakterjami zdegenerowanemi, wytrzymały chorobę, reszta zginęła w przeciągu 50 godzin.

Tenże Pasteur zyskał sobie na ostatnim kongresie medycznym w Londynie powszechny poklask. Chociaż wyniki jego badań w akademii francuskiej napotkały wielką opozycyę, obecnie na kongresie odniosły najzupełniejszy tryumf. Pasteur założył formalne kultury bakteryj, które przy zaraźliwych chorobach w tak wielkiej pojawiają się masie.

Odtąd bakterjolog francuski nie może zadosyć uczynić popytowi hodowców owiec za materyą do szczepienia. W 15 dniach w departamentach pobliskich Paryża, zaszczepiono 20.000 owiec, tudzież wiele wołów i koni, które są raz na zawsze uratowane od zarazy. Wobec tych rezultatów, ekonomiści powinni się postarać, aby jak najrychlej wszędzie założono takie kultury bakteryj, któremi powinni serjo zająć się weterynarze.

Rozmaitości.

Mianowania przy szkole weterynaryi. Jego ces. i król. Apostolska Mość raczył Najwyższem postanowieniem z 15. września b. r. mianować najłaskawiej w wchodzacej z rokiem szkolnym 1881/2 w życie szkole weterynaryi i kucia koni we Lwowie, dyrektora cesarsko-rossyjskiej szkoły weterynaryi w Kazaniu dr. Piotra Seifmanna profesorem medycznej i chirurgicznej kliniki, a zarazem kierującym dyrektorem zakładu, dalej prywatnych docentów medycznego wydziału w Krakowie dr. Henryka Kadyiego i dr. Antoniego Barańskiego zwyczajnymi profesorami, mianowicie pierwszego dla opisowej i patologicznej anatomii, drugiego fizyologii zwierzęcej. *Conrad-Eybesfeld w. r.*

Psy we Wiedniu. W miesiącu sierpniu b. r. oddano do c. k. wojsk. zakładu weterynaryjnego w Wiedniu psów 36 a we wrześniu psów 30 przez których ludzie ukąszone zostały, — do obserwacyi. — Z tych uznano 42 za zupełnie zdrowych i nie złośliwych; — 9 za zdrowych lecz bojaźliwych; — 3 za nieprzyjaźnych; — 7 za złośliwych, którym zaaplikowano kagańce i 5 słabych na choroby piersiowe, lecz żadnego nie uznano wściekłym.

Weterynarz-wiejski ukarany. Sędzia w sądzie powiatowym w Neustadt nad Metą skazał pewnego chłopa, trudniącego się bez uprawnienia leczeniem koni na 15 zlr. grzywny lub 3 dni aresztu, zastosowując w tym wypadku §. 343 ustawy karnej. Chociaż interpretacya tego §. w powyższym wypadku, jest trochę dziwną, gdyż §. ten odnosi się tylko do ludzi i szarlatanów — lekarzy,

sędzia ów, zapewne przyjaciel zwierząt interpretował go na korzyść tychże.

Biały słoń syamski. Jak wiadomo, Syamczycy oddają białemu słoniowi cześć boską. Od kilku już lat w głównej świątyni w Bangkoku brakło słonia takiego, dawniejszy bowiem zakończył żywot po stuletniem blisko „bóstwowaniu". Lud mocno już był zakłopotany brakiem widomego — według jego pojęć — wyobraziciela bóstwa, gdy nagle od jednego z gubernatorów prowincyalnych w początku czerwca nadeszła wiadomość, że na terytoryum jego znaleziono nareszcie białego jak śnieg słonia, którego też wyprawił bezzwłocznie do stolicy. Na tę wiadomość król z dworem całym, duchowieństwo i nieprzejrzane tłumy ludu wyszły naprzeciw nowego bożka, ażeby go przyjąć uroczyście. Spotkanie nastąpiło w odległości kilku mil od Bangkoku, do którego to miasta odbył biały słoń prawdziwy wjazd tryumfalny. Wojsko na ulicach tworzyło szpaler, kapłani spiewali pieśni uroczyste, a lud cały padł na kolana kiedy się pojawił słoń biały, obok którego kroczył z prawej strony król z mieczem dobytym, a po lewej najwyższy kapłan z laską złotą. Gdy orszak stanął, król położył trąbę słonia na swojej głowie i ramionach, jak gdyby przyjmował od niego błogosławieństwo. Odezwały się salwy piechoty i artyleryi, wojsko sprezentowało broń i odprowadzono białego słonia do przygotowanych dlań pałaców, gdzie odbyła się jeszcze ceremonia udekorowania go wielką wstęgą jego orderu i nadania mu tytułu i stopnia władcy Syamczyków. Wszystkie naczynia do obsługiwania ubóstwianego słonia są ze złota lub najdroższej porcelany.

Rzadkie połowy. W Riece koło Fiumy złowiono w tym miesiącu psa morskiego, — ważącego 1000 funtów, — gościa w tych wodach nadzwyczajnego.

Załoga krzyżownika celnego stacyonowanego w porcie Westerland-Sylt złowiła niedawno wieloryba mającego 52 stóp długości a 26 stóp w obwodzie tułowia i 7 stóp długości pletwy ogona. — Zwierzę to morskie zaniesione zostało tu z północy z przypływem morza a po odpływie osiadło na mieliznie, gdzie po kilkugodzinnej pracy zostało ubite. — Tłuszcz jej zużytkowano na tran, a szkielet oddano na wystawę.

W jeziorze plateńskim łowią teraz rybacy rybę, której dotychczas tam nie widziano. Największy egzemplarz tej ryby ważył półtora kilograma. Grzbiet i boki tej ryby są ciemnobrunatne a brzuch zupełnie czarny; niema łuski ani ości a mięso jej bardzo smaczne. — Rybacy przezwali ją rybą cygańską.

Wiek orła. Na wybrzeżach islandzkich zastrzelono w tych dniach orła, który miał na szyi ukryty pod piórami łańcuch z medalionem. Po otworzeniu medaljonu znaleziono w nim kartkę grubego papieru z napisem świadczącym, że orzeł ten został kupiony i puszczony na wolność w r. 1792 przez R. i C. Andersonów w Falster w Danii. Przez 89 lat orzeł ten zatem bujał pod niebem, trzymając się jako wierny patryota w granicach państwa duńskiego, zaglądając zapewne nietylko na Islandyę, ale także do Gren-

landyi, na wyspy Foeroé, a może i do Antyllów, gdzie Duńczycy posiadają także kolonie. Ile miał lat, gdy mu ten naszyjnik przypięto i ileby żył jeszcze, gdyby miał skończyć nie od kuli, ale na uwiąd starczy — niewiadomo.

Uczony zoolog pewien, który zarazem ma być także smakoszem, zapytywany był niedawno przez współstołownika podczas obiadu: Poczem też można starą kurę rozróżnić od młodej? — „Rzecz bardzo prosta — odrzekł profesor — po zębach". — „Ależ kury przecie nie mają zębów!" — „Kury nie mają, oczywiście — ale ja mam!"

Australskie kazuary. W ogrodzie aklimatyzacyjnym *Jardin d'acclimatation* w Paryżu obudza wielką ciekawość szczególny płód. W tym roku po raz pierwszy udało się australskim kazuarom wysiedzieć swe jaja. Sześć wylęgłych młodych kazuarów, zaledwie tak dużych jak gołąbki, chowają się obok swych rodziców dość prawidłowo. — Na wolności w ojczyźnie swej w Azyi południowej i indziej znosi samica 4 do 6 jaj, a samiec je wysiaduje pilnie w nocy, w południe zaś pozostawia działaniu ciepła słonecznego. Rodzaj ten ptaków z powodu ciągłego prześladowania narażony już jest w ojczyźnie swojej na zupełną zagładę.

Dowcipny kronikarz. W numerze 142 Dziennika Polskiego umieścił kronikarz następujące doniesienie:

„*Człowiek bydlęciem*". Jędrzej Piechnik, zarobnik, będąc w stanie pijanym, zbił tak okropnie żonę swoją Annę Piechnik, że musiano ją oddać na kuracyą do szpitalu, a czułego męża odstawiono do sądu.

Z pragnienia wyginęło w tych dniach na kolei pruskiej Mysłowice-Koźle 52 sztuk nierogacizny. Nie dano podczas transportu wody biednym zwierzętom. (*Gaz. Lwow. 20. sierp. 1881*).

Nowy rodzaj dręczenia. „*Pogoń*" w numerze 5 z dnia 1. lipca b. r. donosi:

Zaczęło się we wsiach nadgranicznych cechowanie wszelakiego bydła wyżej 6 miesięcy zapomocą rozpalonego żelaza. Zrazu niechciałem temu wierzyć, bo sądziłem, że tylko bydło prowadzone na rzeź ma ten przywilej, iż przed zabiciem może być poddane takim katuszom, ale niestety idący drogą chłop ze Żelechowa dość wymownie poświadczył tę złą wieść, bo opowiedział, jak 2 krowy w skutek cechowania poroniły a 4 inne sztuki bydła mocno zostały uszkodzone. Jeżeli członkowie Tow. ochr. zw. widzieli te głębokie wypalenia, jakie po zdjęciu skóry jeszcze na mięsie sprzedawanem w jatkach dają

się spostrzegać, jeżeli widzieli, jak bydło cechowane w rzezalni wysokie baryjery z bólu przeskakuje i jeżeli przy tem mają cokolwiek uczucia dla nieszczęśliwych zwierząt, powinni wnieść coprędzej protest przeciw takiemu znaczeniu bydła, a to tem bardziej, że ono do niczego nie prowadzi, bo cechę łatwo podrobić, powtóre dlatego, że liczne obszary dworskie a także gminy wiejskie chcą majątkiem swym odpowiadać za to, iż prócz opisanych dokładnie w spisie sztuk bydła innego bez zawiadomienia odnośnej władzy utrzymywać nie będą. Do tego protestu powinni się dołączyć miłośnicy pięknego bydła ze względu na to, iż cecha bydło olbrzymio szpeci.

Mówiąc o bydle nie mogę nie zamieścić wzmianki o dziwnej ustawie co do przywozu bydła. Jeżeli dawniej chciano bydlę do Tarnowa sprowadzić, wystarczało poświadczenie wójta, iż bydlę jest zdrowe. Później musiał taką kartkę potwierdzać urzędowy weterynarz, którego obowiązkiem zapewne było bydle ono oglądnąć. Dziś atoli weterynarza urzędowego nie ma, a czynność potwierdzania kartek przydzielono trzem dyetaryuszom starostwa, z których żaden ani się zna na bydle ani je kiedykolwiek widzi a kartki podpisywać musi, co dla okolicy jest wielkiem ciężarem, bo trzeba kartkę umyślnie do miasta posyłać i nieraz urzędników, gdy pilna sprawa, w domu szukać. Odrzucić kartki oni nie mogą chyba dla błędów ortograficznych, więc pocóż pytam ten przepis. Rozumiałbym go tylko w Rosyi, gdzie z urzędu każda sprawa musi przejść przez kilka rąk łapczywych.

Polowanie na bawoły. Gazeta „Sioux City Journal" donosi: między Indjanami pokoleń koczujących, zapanowało wielkie oburzenie z powodu sposobu w jaki „biali" w ostatnim roku na bawoły polowali. — W kilku miesiącach ubito 200.000 bawołów, a jeżeli temu nie położy się kresu, to ten rodzaj zwierząt do kilku lat zniknie z powierzchni ziemi. Indjanie biją ich tylko tyle, ile im na pożywienie i przyodzianie się niezbędnie potrzeba; „biali" zaś dostarczają mięsa bawolego fabrykom konserwów, a skóry sprzedają za bezcen. Podobnie dzieje się z łosiami, jeleniami i antylopami, a prawie codziennie krążą ciężko naładowane okręta w okolicach Nebraski i Yellewstone uwożąc łup krwawy z lasów dziewiczych Ameryki.

Biały rak został schwytany w jeziorze Ossiach, jak donosi *Klagenfurt. Ztg.* Ma on długości 4 cale, i został oddany do wiedeńskiego aquarium.

Jedna z osobliwości sadzawek w zamku Fontainebleau, karp zwany *Fanny*, który według podania żył już w czasach króla Franciszka I., a więc przed 400 laty (?), według dzienników paryskich

zakończył w tych dniach swój żywot sędziwy. *Fanny* miał zwyczaj codziennie w godzinach popołudniowych pokazywać się przy brzegu ciekawej i zwykle licznej rzeszy swych amatorów i przyjmować z ich rąk wszelkie rybne łakocie, nauczywszy się tego, według podania, od wspomnionego króla. W każdym razie ryba ta żyła bardzo długo.

Gabinet zoologiczny w Warszawie, dzięki niezmordowanym staraniom kilku znakomitych pracowników, którzy bezinteresownie poświęcają dlań swój czas, fundusze a niekiedy i zdrowie, liczył w roku 1878 zwierząt kręgowych ssących 530 gatunków, ptaków 3.500, gadów 410, ryb 750, obecnie zaś obejmuje ssących 546, ptaków 4.216, gadów 410, ryb 750. W liczbie pracujących dla gabinetu, obok kustosza, p. Wł Taczanowskiego, pierwsze zajmuje miejsce p. Stolzman, utrzymywany w Peruwii kosztem hr. Konstantego Branickiego; dalej znakomity i niezmordowany przyrodnik dr. Dybowski i towarzysz jego wypraw naukowych na Syberyi i w Kamczatce, p. Michał Jankowski, wreszcie bracia pp. Stanisław i Konstanty Rembielińscy, którzy odbywali podróże naukowe po Azyi środkowej i Afryce, tudzież kapitan Garliński i sam hr. Konstanty Branicki.

Kości mamuta, mianowicie kilka czaszkowych i szczękę, znaleziono na gruntach folwarku pp. Norbertanek pod Krakowem, w głębokości trzech sążni pod powierzchnią w pokładzie gliniasto-piaszczystym. Być może, iż reszta szkieletu znajduje się głębiej.

Śniadanie słonia. Jeden z teatrów wiedeńskich sprowadził niedawno z Berlina słonia, potrzebnego do jakiejś sztuki. Kiedy z dworca kolejowego właściciel okazałego zwierzęcia prowadził je ku miastu, słoń trąbą swoją pochwycił mu z ręki list cłowy, w którym zawinięty był banknot 50guldenowy i połknął ten przysmak nim zdołano mu w tem przeszkodzić.

Połów łososi na morzu bałtyckiem jest w roku bieżącym bardzo obfity. W ogóle rybacy nie mogą się w tym roku uskarżać na brak ryb. Dzierżawca jednego z jezior w Prusiech nałowił jednego dnia 170 beczek samych leszczów, co reprezentuje wartość 10.000 marek.

Połów psów morskich na wybrzeżach morza Lodowatego, według doniesień telegraficznych z Dundee, powiódł się w tym roku wybornie. Osada jednego tylko statku *Resolute* złowiła około 50.000 sztuk tych zwierząt, a połów jej przedstawia wartość około 350.000 zł.

Dla uregulowania rybactwa na morzu północnem zebrała się w tych dniach międzynarodowa konferencya w Hadze, zagaił ją holenderski minister skarbu baron Lynden, który jeszcze jako minister spraw wewnętrznych dał był inicyatyę do tego zebrania.

Rzeź psów. Miasto Kair było niedawno świadkiem niewidzianej tam jeszcze nigdy trzydniowej rzezi ulicznej. Krew płynęła po ulicach strumieniami. Kupy utworzone z setek psów przerażający przedstawiały widok. Krzyki boleści i jęki psów niedobitych, tych nieszczęśliwych ofiar zaciekłości ludzkiej, rozdzierały serca wiernych muzułmanów. Jak w każdem mieście wschodniem tak też i w Kairze, szczególniej w dzielnicach arabskich, włóczyły się jak dawniej tak i teraz po ulicach psy niemające właścicieli. Powodem do rzezi było utrudnianie przez nich komunikacyi. Ponieważ w ogóle na wschodzie a szczególniej muzułmanie ochraniają te zwierzęta, nikt nie odważył się uczynić im krzywdy. Dopiero teraz policya europejska zdobyła się na odwagę i sprawiła tę rzeź okropną. Uczucie litości muzułmanów zostało tym okrutnym czynem srodze obrażonem. Odgrażania i skutki onegoż nie wróżą tam europejczykom nic dobrego. Wiadomo, że psy na wschodzie nigdy się nie wściekają, ludzi nie napadają, a żywiąc się odpadkami czyszczą słynne z niechlujstwa ulice miast wschodnich i dla tego doznają od mieszkańców mimo pewnych niedogodności, dość znacznych względów i humanitarności, lecz zapalczywość ludzi w wytępianiu zwierząt mniej i więcej pożytecznych nie zna granic, ani też wzdryga się przed żadnem okrucieństwem.

Nadesłane

(z Lubelskiego).

Kochane dziatki!

Donoszę wam, że mój synek, 10cio letni chłopczyna, podczas miodobrania oddawał mi wielkie usługi. Z początku nie chciałem go narażać na ukłucie pszczół, ale jak zaczął prosić, że lubi się bardzo przypatrywać jak to we środku w ulu u pszczół ładnie, tak musiałem zezwolić. Na kapelusik dałem mu gazową siatkę, ręce pochował w kieszenie, i wyglądał jak rycerz odważnie. Znosił ramki do domku na pachołku i wykręcał miód na miodarce z całą energią i bardzo uważnie. W nagrodę za pracę dostał pół kwarty miodu do szkół odjeżdżając. Pierwszego dnia oznajmił mi, że ludzie spostrzegli rój w polu na gruszy. Ja zabrałem rojnice, a on siatki i melisę i poszliśmy na wskazane miejsce. Rój zebraliśmy szczęśliwie. Darowałem mu go, powiedziałem, że to jest jego własny. Cieszył się tem bardzo.

Posyłam wam, kochane dziatki, wierszyki o pszczołach do nauczenia się. Jak będziecie w domu lub w szkołach zajadać miód słodki, przypomnijcie, że to pszczółki swoją pracą go zebrały. I wy moje miłe dziateczki jak się będziecie pilnie uczyć, to z tej nauki nie tylko sami będziecie korzystać, ale i dla drugich staniecie się pożytecznemi. Dla rodziców będziecie pociechą

i chlubą, a dla ojczyzny i bliźnich pomocni. Trutni próżniaków do czasu tylko znoszą pszczoły, a później z ula ich wyganiają. Bo czyż próżniaka kto lubi?

Zbierajcie jak pszczółki pożytek z nauki i jak pszczółki z kwiatka na kwiatek przelatują wydobywając miód słodki, tak i wy, to z jednej, to z drugiej książeczki uczcie się czegoś pożytecznego.

Szczerze was kochający *A. Lemiesz.*

Do dzieci!

Dziateczki kochane, wyście tą rośliną,
Co z ziemi wyrasta, kiedy śniegi zginą —
Słońce ją ogrzewa, rosa na nią spada,
Pięknie wtedy wzrasta i wszystkiemu rada, —
Suknię ma zieloną, a u samej głowy
Pięknie się rozkwita kwiatek purpurowy.

* * *

Tak i wy dziateczki pod opieką Boga,
Kiedy ojciec czuwa, pieści matka droga,
Wzrastacie szczęśliwi, rzeźwi i weseli.
Rodzice was strzegą, czuwają anieli,
A ubior jak piękny, jaka czystość głowy
Pozazdrościć może kwiatek purpurowy.

* * *

Roślina, o dziatki, za czułe starania,
Za rosę i ciepło, za piękne ubrania,
Wywdzięcza się kwiatkiem, a później nasieniem,
Bo niechce nikomu być próżnym brzemieniem,
I wy też dziateczki pracujcie jak pszczoły,
Czy w domu was uczą, czy dają do szkoły
Wywdzięczcie się ojcu, mateczce swej drogiej
Że każą was uczyć, wskazują wam drogi,
Jak macie żyć w świecie na korzyść ludzkości,
Na radość rodzicom i szczęście w wieczności.

A. Lemiesz.

Od Administracyi:

Szanowne Oddziały Tow. i P. T. członków upraszamy **powtórnie** o wyrównanie rachunków i spieszne nadsełanie wkładek, gdyż Walne Zgromadzenie odbędzie się wkrótce po Nowym roku a przedtem muszą być zaspokojone należytości w drukarni i zestawiony ogólny rachunek do przedłożenia Zgromadzeniu.

Z drukarni Ludowej we Lwowie pod zarz. St. Baylego.